

Wypisy z pamiętnika Adama



MARK TWAIN

Wypisy z pamiętnika Adama

TŁUM. PIOTR MARCINKÓW

Z manuskryptu przetłumaczył: Mark Twain

Pierwsze fragmenty tego pamiętnika przełożyłem jakieś kilka lat temu. Mój znajomy wydrukował nawet parę egzemplarzy, jednakże nigdy nie trafiły one do rąk czytelników. Jako że od tego czasu poczyniłem pewne postępy w odcyfrowywaniu Adamowych hieroglifów, a sam autor stał się chyba wystarczająco rozpoznawalną i ważną dla naszego społeczeństwa postacią, postanowiłem udostępnić publiczności niniejsze wypisy — M.T.

PONIEDZIAŁEK

Z tym nowym stworzeniem z długimi włosami jest niezły klops. Wszędzie go pełno i ciągle się za mną szwenda. Nie podoba mi się to; bo co, źle mi było samemu? Niech się trzyma z resztą zwierząt, ja nie przywykłem do towarzystwa... Pochmurnie dziś, wiatr ze wschodu; chyba czeka nas deszcz... Chwila, *nas*? A to słowo to skąd?... Ach, już wiem — to nowe stworzenie tak mówi.

WTOREK

Dziś oględziny wielkiego wodospadu. To, jak sędzę, najwspanialsza część tych włości. Nowe stworzenie nazywa go wodospadem Niagara — a dlaczego tak, to jestem pewien, że nie wiem. Mówi, że to *wygląda* jak wodospad Niagara. To żaden powód, tylko zwykła krnąbrność i kretynizm. Sam nie mogę niczego nazwać, bo nowe stworzenie, nim zdążę zaprotestować, już ma pomysł na wszystko, cokolwiek się zjawi. I zawsze ta sama wymówka — że to *wygląda* jak coś. Taki dodo na przykład. Ponoć ktokolwiek go zobaczy, ten w moment rozumie doskonale, że to „wygląda jak dodo”. No i nie ma co gadać, nazwy już się nie zmieni i będzie dodo. Tylko się męczę, zaprzatając sobie tym głowę, a pożytek z tego żaden. Dodo! Taki z niego dodo, jak i ze mnie.

ŚRODA

Zbudowałem chatkę, która doskonale chroni przed deszczem — i co, i nie mogę w niej mieszkać w spokoju, bo nowe stworzenie bezprawnie mnie nachodzi. Próbowałem wystawić je na zewnątrz, lecz wtedy zaczęło łać wodę z tych dziur, którymi patrzy, ocierając je przy tym wierzchem łap i wydając odgłosy podobne do hałasu, jaki robią inne zwierzęta, gdy coś im dolega. Żeby to chociaż tyle nie mówiło; ale to gada bez ustanku. Brzmi to może jak zwykle świństwo z mojej strony, jak pogarda wobec biednego stworzenia, ale to nie tak. Po prostu nigdy wcześniej nie słyszałem ludzkiego głosu, a każdy dźwięk nowy i dziwny, który zakłóca ową dostojną cichość rozmarzonych mych chwil osamotnienia, stanowi obrazę dla moich uszu i zdaje się pożałowania godnym fałszem. W dodatku ten akurat dźwięk jest wyjątkowo blisko — tuż nad moim ramieniem, tuż przy moim uchu, najpierw z jednej, potem z drugiej strony — tymczasem dotąd zwykłem słyszeć dźwięki jedynie z odległości, raz większej, raz mniejszej, ale jednak z odległości.

PIĄTEK

Nazywanie trwa w najlepsze, bez względu na mój sprzeciw. Swego czasu miałem świetną nazwę dla tych włości, piękną i melodyjną — OGRÓD EDENU. Prywatnie wciąż jej używam, ale publicznie to już nie. Nowe stworzenie mówi, że tu same skały, lasy i land-szafty, a to nie ma w ogóle nic wspólnego z ogrodem. Rzekomo to *wygląda* jak park i nie przypomina absolutnie niczego z *wyjątkiem* parku. W rezultacie i bez jakichkolwiek konsultacji ze mną posiadłość ma nową nazwę — PARK WODOSPADU NIAGARA. Przecież to czysty despotyzm. Pojawiła się nawet tabliczka: SZANUJ ZIELEŃ.

A taki kiedyś byłem szczęśliwy.

SOBOTA

Nowe stworzenie zjada dużo owoców. Za dużo. Najpewniej zaraz nam się skończą. *Nam*, znowu to *my*, obce słowo, które słyszę tak często, że już sam go używam. Dziś rano gęsta mgła. W taką pogodę nie wychodzę. A nowe stworzenie, owszem, wychodzi — wychodzi w każdą pogodę, a potem naniesie jej do mnie tymi ubłoconymi stopami. I gada, wciąż gada. Cisza i spokój opuściły mój dom.

NIEDZIELA

Jakoś poszło. Te niedziele stają się coraz bardziej uciążliwe. W listopadzie postanowiono, że to będzie dzień wypoczynku, a przecież już wcześniej miałem sześć takich dni w tygodniu. Dziś rano nowe stworzenie próbowało strącić jabłka z tego drzewa, co to jest zakazane.

PONIEDZIAŁEK

Nowe stworzenie mówi, że na imię mu Ewa. W porządku, żaden problem. Powiedziało, żebym używał tego imienia, kiedy będę chciał je zawołać. Odparłem, iż w takim razie nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa. To słowo ewidentnie wzbudziło w nim szacunek dla mojej osoby; i faktycznie, to porządne, okazałe słowo i powinno będzie wtórowania. Oprócz tego, stworzenie ponoć nie jest żadnym *nim* ani *tym*, tylko *nią* i powinienem mówić o *niej*. To raczej wątpliwe — ale dla mnie bez znaczenia. Czymkolwiek jest, niech sobie będzie, byleby znalazła coś do roboty i siedziała cicho.

WTOREK

Od dziś całą posiadłość zaśmiecają wstrętne nazwy i okropne tabliczki:

DO WODOSPADU □

NA KOZIĄ WYSPĘ □

DO JASKINI WICHRÓW □

Mówi, że byłby z tego parku niezły kurort letni, gdyby tylko wzrósł popyt. Kurort letni. Kolejny jej wymysł, puste słowa, żadnego sensu. Bo co to niby jest kurort letni? Ale lepiej nie pytać — ona potrafi bardzo zaciekle tłumaczyć.

PIĄTEK

Teraz wzięła się do biadolenia, że mam przestać zjeżdżać z wodospadu. A co to komu szkodzi? Mówi, że nie może na to patrzeć i że aż cała drży. Nie rozumiem dlaczego; w końcu robię to od dawna. Zawsze podobał mi się ten dreszczyk emocji, lot i gwałtowny nur, wszystko oczywiście na chłodno. Czy nie po to właśnie jest wodospad? Nie wiem, jaki inny miałby być z niego pożytek, a przecież po coś musiał powstać. Jej zdaniem zrobiono go tylko dla dekoracji, jak nosorożca albo mastodonta.

Tak czy owak, następnym razem zjechałem w beczce — wciąż kręciła nosem. Zjechałem w łódce — też źle, też niedobrze. Potem jeszcze w kostiumie z listków figowych przepłynąłem wiry i progi, i to chyba jasne, że w takich warunkach strój musiał się trochę postrzępić — ale nie, gdzie tam, wyjdę tylko z wody i od razu słyszę marudzenia, jaki to jestem nieobyczajny. Tu się nie da oddychać swobodnie. Potrzebuję zmiany.

SOBOTA

Uciekłem w ostatni wtorek pod osłoną nocy, szedłem przez dwa dni, zbudowałem sobie nową chatkę w ustronnym miejscu i zatarłem swoje ślady tak dobrze, jak tylko potrafiłem — i wszystko na nic, bo oto wytropiła mnie z pomocą zwierza, którego oswoiła i nazwała wilkiem. Tak więc przysłała, a wraz z nią te nieszczęsne jęki i wylewanie wody z dziur, którymi patrzy. Nie było rady, musiałem wrócić, ale naturalnie wyemigruję przy pierwszej sposobności. Zajmuje ją cała masa głupot — na przykład dociekania, dlaczego zwierzęta zwane lwami i tygrysami żyją o trawie i kwiatach, podczas gdy, jak mówi, ich uzębienie wskazywałoby raczej, że powinny pożerać się nawzajem. Nonsens: pożerać się nawzajem to znaczy zabijać, a to z kolei, wedle mojej wiedzy, skutkowałoby czymś, co nazywa się *śmiercią*; a śmierć, jak mi powiedziano, jeszcze nie wkroczyła do parku. Co jest, w pewnym sensie, dość niefortunne.

NIEDZIELA

Jakoś poszło.

PONIEDZIAŁEK

Już chyba wiem, po co jest tydzień: tydzień jest po to, aby człowiek mógł odpocząć po znojach niedzieli. To całkiem niezły pomysł... Tymczasem ona znowu włązi na to drzewo. Musiałem obrzucić ją ziemią, żeby dała spokój. Ona mi na to, że przecież nikt nie patrzy. Najwyraźniej sądzi, że to dostateczne uzasadnienie, by wkładać palce między drzwi. Tak jej powiedziałem. Na słowo *uzasadnienie* jej oczy błysnęły podziwem — i chyba także zazdrością. To dobre słowo.

CZWARTEK

Powiedziała, że stworzono ją z mojego żebra. Teoria co najmniej wysoce wątpliwa, o ile nie po prostu zupełny absurd. Wszystkie żebra mam na miejscu... Motywem przewodnim ostatnich dni są jej problemy z myśłowem: że trawa mu nie służy, że niby powinien żywić się nadpsutym mięsem i że przez to nie da się nim odpowiednio zaopiekować. Trudno, myśłowowi musi wystarczyć to, co mamy. Nie będziemy wywracać świata do góry nogami, żeby zadowolić myśłowa.

SOBOTA

Wczoraj, kiedy przeglądała się w tafli wody, co zresztą robi bez przerwy, wpadła do jeziora. Prawie się utopiła i jej zdaniem to najnieprzyjemniejsza rzecz w świecie. W związku z tym zaczęła współczuć zwierzętom, które tam żyją, a które nazywa rybami, jako że wciąż uparcie okleja nazwami rzeczy, które nazw ani nie potrzebują, ani nie przybiegają na ich dźwięk, co być może dałoby jej do myślenia, gdyby nie fakt, że taki z niej kapuściany łeb; no więc wyciągnęła ich z wody, ile mogła, a wieczorem przeniosła do chatki i położyła w moim łóżku, coby nie zmarzły, lecz jak tak dzisiaj na nie patrzę, to jakoś nie wyglądają na specjalnie szczęśliwsze niż wcześniej, są natomiast niezwykle spokojne. Wyrzucę je z powrotem na zewnątrz, gdy tylko się ściemni. I żadnych więcej wspólnych nocy — zbyt są ośliszłe i nieprzyjemne w dotyku, szczególnie dla kogoś, kto śpi bez piżamy.

NIEDZIELA

Jakoś poszło.

WTOREK

Teraz zgadała się z węzem. Wspaniała wiadomość dla reszty zwierząt, bo dotąd ciągle zawracała im głowę swoimi eksperymentami. I dobra nowina dla mnie: wąż umie mówić, więc mogę wreszcie odpocząć.

PIĄTEK

Wąż poradził jej, aby spróbowała owocu z wiadomego drzewa, albowiem wyniknie z tego wielka i mądra i piękna nauka. Poinformowałem ją, iż wyniknie z tego coś jeszcze, mianowicie na świecie pojawi się śmierć. I to był błąd, trzeba było tę wiadomość zachować dla siebie; a tak tylko podsunąłem jej pomysł, jak uratować chorego myszołowa, a przynęcionym lwom i tygrysom dostarczyć świeżego mięsa. Kazałem jej trzymać się z dala od drzewa. Ona na to, że ani myśli. Przeczuję kłopoty. Wyemigruję jak nic.

ŚRODA

Karuzela wrażeń, nie ma co. Tamtej nocy uciekłem — przez cały czas popędzałem konia, jakby nas kto ścigał, mając nadzieję wymknąć się z Parku i schronić w jakimś innym kraju, zanim będzie za późno; ale nic z tego. Było z godzinę po wschodzie słońca, jechałem ukwieconą łąką pośród tysięcy zwierząt, oddanych sennemu przeżuwaniu bądź niewinnej zabawie, każde zgodnie ze swoją naturą, kiedy nagle rozpętała się burza przeraźliwych ryków i w jednej chwili cała łąka zmieniła się w straszliwe kłębówisko walczących ze sobą bestii. Wiedziałem, co to oznacza — Ewa zjadła owoc i śmierć zjawiała się na świecie... Tygrysy pożarły mojego konia, chociaż wyraźnie nakazywałem im tego poniechać, i byłyby pewnie zjadły i mnie, gdybym tak tam stał i patrzył, czego oczywiście nie zrobiłem, wybraawszy zamiast tego pośpieszną ucieczkę... Znalazłem nowe miejsce, poza granicami parku, i przez parę dni żyłem w miarę wygodnie, ale znowu mnie odszukała. A gdy tylko mnie odszukała, zaraz nowemu miejscu nadała nazwę Tonawanda — bo to *wygląda* jak to właśnie. Szczerze mówiąc, tym razem nawet ucieszyłem się na jej widok, gdyż zbiory tutaj są wyjątkowo marne, ona natomiast wzięła ze sobą trochę tych nieszczęsnych jabłek. Cóż mogłem zrobić: głód tak mi doskwierał, że musiałem je zjeść. To wbrew moim zasadom, ale wychodzi na to, że zasadami człowiek brzucha nie napelni... Część ciała miała zasłoniętą pospłatanym listowiem, spytałem więc, co też znowu wyczynia z tym zielskiem, i gdy je z niej zerwałem, zaczęła się czerwienić i chichotać. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby ktoś się czerwienił i chichotał, i zdało mi się to idiotyczne i nieestosowne. Stwierdziła, że niedługo sam zobaczę, jak to jest. I miała rację. Jakkolwiek wciąż szalenie głodny, odłożyłem nadgryzione jabłko — z pewnością najlepsze, jakie miałem w ustach, a pamiętajmy, że to końcówka sezonu — i przyodziałem się w opadłe liście i gałęzie, po czym z niejaką szorstkością kazałem jej przynieść ich więcej i żeby już nie robiła z siebie takiego pośmiewiska jak przed chwilą. Potem zeszliśmy na łąkę, tam, gdzie zwierzęta stoczyły swój pierwszy krwiożerczy bój, aby pozbierać skóry, z których poleciłem jej uszyć parę strojów wieczorowych. Są nieco niewygodne, owszem, ale za to szykowne, a przecież w ubraniach właśnie o to chodzi... Okazuje się, że całkiem niezła z niej towarzyszka. Bez niej, skoro straciłem swoją posiadłość, byłbym samotny i przybity. Ach, i jeszcze jedno — jej zdaniem przykazano, że od teraz, aby przeżyć, musimy pracować. No to się przyda. Ja zajmę się nadzorem.

DZIESIĘĆ DNI PÓŹNIEJ

Niebywałe: jej zdaniem cała ta katastrofa to *moja* wina! Mówi, najwyraźniej szczerze i z przekonaniem, że Wąż zapewnił ją, iż zakazanym owocem były nie jabłka, tylko suchary. Odparłem, że w takim razie jestem niewinny, bo żadnych sucharów nie jadłem. A ona mi na to, że zgodnie z tym, co mówił Wąż, „suchar” ma znaczenie przenośne i że tak się mówi na stary, nieśmieszny żart. No i wtedy zbladłem, bo faktycznie, czasem wymyślałem sobie kawały, ot tak dla zabicia czasu, a że zdążyło się ich zebrać już całkiem sporo, to może niektóre rzeczywiście były sucharami, lecz daję słowo, że kiedy je mówiłem, wydawały mi się zupełnie świeże. Spytała, czy nie opowiedziałem przypadkiem kogoś w chwilę przed katastrofą. Musiałem się przyznać — w rzeczy samej, akurat wtedy wpadł mi do głowy taki jeden, choć nie wypowiedziałem go na głos. To było tak: wspominałem nasz wodospad, myśląc sobie: „Ach, jakże imponujący jest ogrom wodospadu Niagara!” — i nagle miałem przebłysk geniuszu, więc uwolniłem moją myśl skrzydlatą: „Ale równie imponujący jest ogrom głupoty pewnego Nieogara!”, i już miałem umrzeć ze śmiechu, kiedy wokół rozpętało się piekło, wojna wszystkich ze wszystkimi, i trzeba

było brać nogi za pas. „A widzisz”, powiedziała z satysfakcją, „wszystko jasne; dokładnie o tym mówił Wąż. To Pierwszy Suchar. Podobno powstał on wraz z resztą stworzenia”. Czyli to ja jestem winny — kto by pomyślał! Ech, i tak się kończy to całe dowcipkowanie. Gdybym był tylko tę jedną jedyną błyskotliwą myśl powstrzymał!

ROK PÓŹNIEJ

Daliśmy mu na imię Kain. Znalazła je w lesie, kilka mil od naszej ziemianki, już nie pamięta gdzie dokładnie. Mnie akurat wtedy nie było, polowałem na północnym brzegu jeziora Erie. To nowe jest trochę podobne do nas i może być z nami spokrewnione; a przynajmniej ona tak sądzi, ale moim zdaniem jest w błędzie. Różnica rozmiarów wskazuje niezawodnie, że to odrębny, nowy gatunek — być może ryba, choć pewności nie mam, ponieważ gdy wrzuciłem je do jeziora, ażeby zweryfikować swoje przypuszczenia, i to nowe zniknęło pod wodą, ona natychmiast wskoczyła za nim i wyciągnęła je na powierzchnię, przerywając tym samym eksperyment, który byłby pewnie dał zadowalającą odpowiedź na nurtujące nas pytania. Wciąż sądzę, że to ryba, ale jej w ogóle nie obchodzi, czym to w zasadzie jest, i już nie chce udostępnić mi go do dalszych badań. Dziwna sprawa. To małe stworzenie jakby całkowicie zmieniło jej naturę i odebrało resztki rozsądku w kwestii eksperymentów. Żadnemu innemu zwierzęciu nie poświęca tyle uwagi i nie podaje po temu żadnych powodów. W głowie jej się pomieszało, to jedyne wytłumaczenie. Czasami, kiedy ryba się skarży i ewidentnie pragnie wrócić do jeziora, nosi ją na rękach przez pół nocy. Wtedy znowu wylewa wodę z tych dziur, którymi patrzy, poklepuje rybę po plecach i wyczynia ustami jakieś dziwne, ciche dźwięki, aby ją uspokoić, przejawiając przy tym smutek i troskę na tysiąc sposobów. Nigdy nie widziałem, żeby z jakąkolwiek inną rybą tak postępowała. To nieco martwiące. Zdarzało się jej, co prawda, w podobny sposób nosić małe tygrysy i bawić się z nimi, zanim jeszcze straciliśmy nasze włosci, ale to była tylko zabawa; ani razu, kiedy kręciły nosem na swoją kolację, nie angażowała się tak mocno.

NIEDZIELA

W niedzielę nie pracuje, leży za to cała wyczerpana, a ryba przetacza się po niej w tę i w tą. Nic, tylko się wyleguje i wydaje głupawe dźwięki, żeby ją rozbawić, albo udaje, że chce zjeść jej łapy, i wtedy ryba się śmieje. Nigdy w życiu nie widziałem ryby, która potrafiłaby się śmiać. Zaczynam wątpić w moją teorię... To nadzorowanie przez cały tydzień jest niezwykle męczące, toteż zdążyłem polubić niedziele. Powinniśmy mieć ich więcej. W dawnych czasach dawały człowiekowi w kość, ale teraz przydają się fest.

ŚRODA

To nie ryba. Cholera wie, co to jest. Kiedy coś mu nie pasuje, wydaje charakterystyczne, diabelskie odgłosy, a gdy wszystko w porządku, to mówi „gu-gu”. Nie jest jednym z nas, bo nie umie chodzić; nie jest ptakiem, bo nie lata; nie jest żabą, ponieważ nie skacze; nie pełza, więc nie jest też wężem. Jestem niemal pewien, że rybą także nie jest, choć wciąż nie mogę sprawdzić, czy potrafi pływać, czy nie. Zazwyczaj po prostu leży, najczęściej na plecach, z nogami w górę. Nie przypominam sobie, żeby jakiegokolwiek inne zwierzę tak się zachowywało. Powiedziałem jej, że moim zdaniem to nowe może być enigmą, ale ona tylko zachwyciła się samym słowem, nie rozumiejąc go w ogóle. Wedle moich przypuszczeń to jest albo enigma, albo jakiś owad. Jeśli umrze, zrobi się wiwisekcję i zobaczymy, co tam ma w środku. To bez wątpienia największa zagadka w mojej karierze.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Zagadka, zamiast zmierzać ku rozwiązaniu, wikła się tylko coraz bardziej i spędza mi sen z powiek. To nowe już nie leży, lecz pomyka tu i ówdzie na swoich czterech nogach. Mimo to różni się wyraźnie od innych czworonogów: na przykład przednie łapy ma niezwykle krótkie, przez co główną część ciała wznosi ku górze, sprawiając przy tym mało korzystne wrażenie. Zbudowane jest podobnie do nas, ale jego sposób poruszania się przeczy twierdzeniu, jakoby miał należeć do naszego gatunku. Krótkie przednie nogi

i długie tylne sugerują, że powinno się go zaklasyfikować jako kangura, znacząco jednak różnego od reszty, gdyż prawdziwy kangur skacze, ten zaś nie skacze nigdy. Jest to nie-
mniej przypadek wielce ciekawy; w dodatku tej odmiany jak dotąd nie opisano. Wziąwszy
pod uwagę fakt, że to ja ją odkryłem, za w pełni zasadne uznałem odnotowanie moich
zasług dla nauki poprzez nazwanie nowego zwierzęcia moim imieniem: *Kangaroorum*
Adamiensis... W chwili, gdy do nas trafił, musiał być bardzo młody, ponieważ od tego
czasu nadzwyczaj urosł. Jest chyba pięciokrotnie większy niż pierwszego dnia obserwacji,
a w reakcji na różnego rodzaju dyskomfort potrafi wydawać z siebie dźwięki dwadzieścia
dwa do trzydziestu ośmiu razy głośniejsze niż na początku. Zastosowanie wobec niego
w takich wypadkach środków przymusu jedynie potęguje reakcje negatywne, zaprzesta-
łem więc tego typu działań. Ona z kolei ucieka się do perswazji, dając kangurowi rzeczy,
których wcześniej mu odmawiała; i ta metoda, trzeba przyznać, daje wcale niezłe rezulta-
ty. Jak już wspomniano, nie byłem obecny, kiedy się pojawił; ponoć znalazła go w lesie.
Byłoby to dość osobliwe, gdyby stanowił jedyny egzemplarz swojego gatunku — a jednak
wszystko na to wskazuje, na próżno bowiem przez ostatnie tygodnie starałem się znaleźć
drugiego, aby powiększyć swoją kolekcję tudzież dostarczyć towarzysza zabaw temu tutaj,
dzięki czemu bez wątpienia stałby się spokojniejszy i łatwiej byłoby nam go poskromić.
Włożyłem w poszukiwania mnóstwo wysiłku — bezskutecznie. A co najdziwniejsze, nie
natrafiłem na choćby jeden ślad obecności drugiego kangura. Na pewno żyje na ziemi,
jakże więc to możliwe jest, żeby nie zostawiał żadnych śladów? Zastawiłem mnóstwo
pułapek, lecz bez powodzenia. Włazą w nie wszystkie małe zwierzęta z wyjątkiem tego
jednego, a wchodzą tam zresztą, jak sądzę, jedynie z czystej ciekawości, aby sprawdzić, co
u licha w pułapce robi mleko, bo nigdy go nie piją.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Kangur wciąż rośnie i zagadka już chyba nie może być bardziej zagadkowa. Żadnemu
z tych, które znam, nie zajmowało to tak długo. Na jego głowie pojawiła się sierść, ty-
le że niezbyt kangurza, za to wielce podobna do naszych włosów, tylko daleko cieńsza
i bardziej delikatna, i nie czarna, lecz ruda. Jeszcze chwila i naprawdę zwariuję przez tego
nieklasyfikowalnego dziwaka i jego rozkapryszony, zajadły rozwój. Gdyby tak udało mi
się złapać drugiego... ale na to nie ma co liczyć; to nowa odmiana — i jej jedyny okaz.
Takie są fakty. Znalazłem natomiast normalnego kangura i wziąłem go ze sobą, sądząc,
że ten nasz w swej samotności wolałby mieć towarzysza raczej takiego niż żadnego i że
ucieszy go zwierzę przynajmniej doń zbliżone, z którym mógłby nawiązać jakąś więź lub
które zapewniłoby mu trochę czułości w tym odosobnieniu, jakie niezawodnie musi czuć
pośród obcych, niezdolnych zrozumieć jego potrzeb i zwyczajów, i niepotrafiących prze-
konać go, że znajduje się wśród przyjaciół. No i to był błąd: na widok kangura podniósł
takie larum, iż nie ulegało wątpliwości, że żadnego wcześniej nie spotkał. Biedne, ha-
łaśliwe zwierzątko. Chciałbym mu jakoś ulżyć, ale nie mam pojęcia jak. Chociaż bardzo
się staram, nie potrafię go oswoić; cokolwiek zrobię, tylko pogarszam sprawę. Serce mi
pęka, gdy widzę, jak targają nim te wybuchy malutkich rozpacz i żalości. Próbowałem
ją przekonać, że powinniśmy puścić go wolno, ale nie chciała nawet o tym słyszeć. To
wydało mi się okrutne i zupełnie do niej niepodobne; a jednak, być może, ma rację.
Przecież wtedy byłby jeszcze bardziej samotny. Bo skoro ja nie mogę znaleźć drugiego,
to jak niby *jemu* miałoby się udać?

PIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

To nie kangur. Nie, ponieważ trzymając się jej palca, potrafi przejść kilka kroków na
swoich tylnych nogach, po czym upada. Prawdopodobnie to jakaś odmiana niedźwie-
dzia, choć — jak na razie — brak mu ogona oraz futra, z wyjątkiem tego na głowie.
No i wciąż rośnie — zastanawiająca okoliczność, ponieważ przeciętny osobnik zwykle
dużo szybciej osiąga dorosłą postać. Niedźwiedzie są niebezpieczne — od czasu naszej
katastrofy — i niedopuszczalnym jest, aby ten tutaj biegał sobie swobodnie bez kagańca.
Zaproponowałem, że dam jej kangura, jeśli wypuści niedźwiedzia, ale nic z tego, naj-

widoczniej upodobała sobie te sto tysięcy zagrożeń, jakie mogą wyniknąć z jej uporu. Kiedyś nie była taka — zanim nie oczadziła do reszty.

DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Zajrzałem mu do pyska. Jak na razie nie ma powodów do obaw; ma zaledwie jeden ząb. Ogon jeszcze nie wyrósł. Hałaśliwy jest bardziej niż kiedykolwiek, i to głównie w nocy. Postanowiłem więc wyprowadzić się na jakiś czas. Będę jednak zaglądał tam porankami, coby zjeść śniadanie i regularnie sprawdzać stan paszczy. Kiedy już wyjdą mu wszystkie zęby, będzie musiał odejść, z ogonem czy bez ogona, bo niedźwiedziowi niepotrzebny ogon, żeby być groźnym.

CZTERY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Przez miesiąc mnie nie było, polowałem w kraju, który ona nazywa Buffalo. Czemu tak, nie mam pojęcia, chyba że powodem jest fakt, iż nie ma tam ani jednego bawoła. Tymczasem niedźwiedź nauczył się samodzielnie dyrdać gdzie bądź na tylnych nogach. Do tego mówi — „dada” i „mama”. To bez wątpienia nowy gatunek. Podobieństwo tych dźwięków do prawdziwych słów może być, rzecz jasna, czysto przypadkowe, a one same pozbawione celu czy znaczenia, ale nawet jeśli tak jest, to cała sprawa wciąż nie traci nic a nic ze swej niesamowitości; żaden inny niedźwiedź tak nie potrafi. Ta imitacja mowy, w połączeniu z generalnym brakiem futra i całkowitym brakiem ogona, wykazuje ponad wszelką wątpliwość, że mamy do czynienia z nową odmianą niedźwiedzia. Dalsze badania będą z pewnością tylko bardziej ekscytujące. W międzyczasie ruszę z ekspedycją badawczą do lasów na północy. Gdzieś tam z całą pewnością kryje się choćby jeszcze jeden osobnik, a przy tym nasz niedźwiedź stanie się mniej niebezpieczny, kiedy będzie miał kompana tego samego gatunku. Wyruszę zaraz, tylko zmastruję kaganiec.

TRZY MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Trudne, wielce trudne to były łowy, a zakończyły się zupełnym fiaskiem. Tymczasem ona, nie wyściubivszy nosa poza chałupę, złapała kolejnego! Takiego farta w życiu nie widziałem; a ja mógłbym pewnie jeszcze sto lat przeczesywać te lasy i niczego nie znaleźć.

NASTĘPNEGO DNIA

Porównanie obu osobników dowiodło niezbicie, że należą do tego samego gatunku. Chciałem wypchać jednego z nich, dzięki czemu fantastycznie poszerzyłbym moją kolekcję, ale ona z tego czy innego powodu nie chce się zgodzić. Dałem więc spokój, niemniej myślę, że niesłusznie. Gdyby kiedyś nam uciekły, byłaby to niepowetowana strata dla nauki. Ten starszy stał się spokojniejszy, potrafi też śmiać się i mówić jak papuga, czego z pewnością nauczył się drogą właśnie częstego przebywania w towarzystwie papugi, w połączeniu z wysoko rozwiniętym instynktem naśladowczym. Będę zdumiony, jeśli okaże się, że to nowy rodzaj papugi, a jednocześnie ani trochę mnie to nie zdziwi, skoro przez cały ten czas zdążyło to być już wszystkim, co tylko mogło przyjść mu do głowy, poczynawszy od tej ryby pierwszego dnia. Nowy jest równie brzydki jak starszy był wcześniej. Ma tę samą surowomięsno-siarkową karnację i tę samą dziwną głowę bez żadnej sierści. Nazwała go Abel.

DZIESIĘĆ LAT PÓŹNIEJ

To chłopcy, jak już od dawna wiemy. To ten początek, kiedy pojawili się w tych małych, niedojrzałych ciałkach, tak nas zdezorientował; kto mógł przewidzieć, że tak to się potoczy? Teraz mamy także dziewczynki. Abel to dobry chłopak, natomiast jeśli chodzi o Kaina, to byłoby lepiej, gdyby pozostał niedźwiedziem. Po tych wszystkich latach zrozumiałem wreszcie, że myliłem się co do Ewy. Lepiej żyć z nią poza Ogrodem niż w Ogródzie bez niej. Z początku wydawało mi się, że za dużo gada — ale teraz jakże bym cierpiał, gdyby jej głos pogrążył się w ciszy i zniknął z mojego życia. Błogosławiony

niech będzie suchar, który zbliżył nas do siebie i nauczył mnie, jak cenić piękno jej serca
i słodycz jej ducha!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest udostępniony na licencji **Licencja Wolnej Sztuki 1.3.**

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3.**

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/twain-wypisy-z-pamietnika-adama/>

Tekst opracowany na podstawie: Mark Twain, *Wypisy z pamiętnika Adama*, tłum. Piotr Marcinków, Fundacja Wolne Lektury, Warszawa 2025.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła.

ISBN 978-83-288-7994-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.